Ptażek Topór

FELIKS PŁAŻEK

TOPÓR

SŁOWO WSTĘPNE

STANISŁAWA PIGONIA

FELIKS PLAŻEK

TOPÓR

BALLADA

SŁOWO WSTĘPNE
STANISŁAWA PIGONIA

KRAKÓW 1938
GEBETHNER I WOLFF

FELIKS PŁAŻEK

TOPÓR

BALLADA

SŁOWO WSTĘPNE

STANISŁAWA PIGONIA

KRAKÓW 1938
GEBETHNER I WOLFF

KRAKÓW — DRUK W. L. ANCZYCA I SPÓŁKI

Mieszko Bolesławicz, nieszczęsny syn nieszczęsnego ojca, nie znalazł względów u poetów naszych. Życie obeszło się z nim okrutnie, padł z ręki skrytobójcy, zanim zdołał się utwierdzić na odzyskanym tronie krakowskim. Sprawiedliwość poetycka, któraby ten srogi los ubrała w aureolę piękna, okazała się bardzo nierychliwa. Nierychliwsza od historycznej.

Cóż stąd, że pierwszy kronikarz tak wzruszające przekazał o nim wspomnienie: «...Chłopiec istotnie wszystkich przewyższał szlachetnymi obyczajami i pięknością, i myśli wszystkich ściągał ku sobie nadzieją przyszłego panowania. ...Gołowąsy a piękny, tak obyczajnie się prowadził i tak rozumnie, tak przestrzegał starego obyczaju przodków, że cały kraj z dziwnym afektem upodobał go sobie». A kiedy zmarł, «cała Polska tak go opłakiwała jak matka śmierć syna-jedynaka... Wieśniacy porzucali pługi, pasterze trzody, rzemieślnicy swe zajęcia, robotnicy robotę odkładali z bólu za Mieszkiem» (Gall, I 29).

Postać nieszczęsnego królewicza nie pociągnęła przecież ku sobie wyobraźni żadnego z dramaturgów czy epików. Nie stało się to ani w dobie «tragedyj narodowych», ani — co dziwniejsza — w dobie romantyzmu. Pamięci królewicza nie zdołał się przysłużyć nawet Lelewel, twórca niejednego z literackich mitów historycznych. Rzucił on na Mieszka III oświe-

tlenie niespodziane. Patrząc na Bolesława Śmiałego jako na szermierza praw kmiecych, bronionych przezeń przeciwko lechom-rycerzom, ową stwierdzoną przez Galla pogrzebową żałobę ludu uzasadniał tym, że Mieszko był spadkobiercą także idei ojca, że zginął jako obrońca prostego ludu przed przemocą rycerstwa. «Po nim stary obyczaj zeszedł i nadzieje gminu zniknęły» (J. Lelewel, Stracone obywatelstwo stanu kmiecego w Polsce, Bruksela 1846, s. 17). Poezja romantyczna, mimo swej niewątpliwie demokratycznej tonacji, nie podjęła przecież tematu, tak sugestywnie poddanego przez historyka.

Poetycka intronizacja królewicza odbyła się dopiero w w. XX. Dokonał jej Wyspiański; urzeczony pięknem postaci, dwukrotnie zatrzymał przy niej swą wyobraźnię twórczą. Raz w rapsodzie o Bolesławie Śmiałym (1902), gdzie najpierw w formie wizji króla, a potem w osobnej balladzie Na krakowskim zamku wesele, przedstawił tragiczną śmierć królewicza. Ponownie w zamyśle dramatycznym, wyrażonym zaledwie w fragmencie jednej sceny (1903), który miał dać dalsze po Bolesławie Śmiałym udramatyzowane ogniwo z dziejów Piastów. Tu i tam, w rapsodzie i w fragmencie dramatycznym, ujmuje Wyspiański sprawę tak, że śmierci królewicza winien jest «królów brat» Włodzisław Herman i żona jego Judyta, pragnący usunąć sobie tę zaporę do tronu królewskiego.

Tak się fortunnie złożyło, że dobą dziejową i tymi właśnie postaciami zajęła się podówczas bliżej nauka. Balzer w Genealogii Piastów, a przede wszystkim T. Wojciechowski w Szkicach historycz-

n y c h rzucili strugę światła na sprawy Bolesława Śmiałego i jego następcy. Tryumf ich wnikliwości krytycznej oddziałał podniecająco i na poezję.

Sugestii, zarówno tej, która szła od Wyspiańskiego, jak i tej od Wojciechowskiego, zawdzięcza zapewne nieco twórca niniejszej udramatyzowanej «ballady», Feliks Płażek.

Sugestia wszelako dotyczyć mogła chyba tylko spraw postronnych. Trzon głównej koncepcji poniższego utworu wsparł się niemal wyłącznie na K r o n i c e Galla. Tzn. stamtąd ma autor żebrowania, połączył je zaś wiązadłami własnej inwencji artystycznej. Nie poszedł więc np. za Wyspiańskim (ani za jego przewodnikiem, Długoszem), nie uległ też autorytetowi Wojciechowskiego, przy wyznaczaniu odpowiedzialności za katastrofę; wszyscy oni przyjmują, że śmierci królewicza winien jest bezpośrednio stryj Włodzisław. Płażek, korzystając z umyślnych może przemilczeń Galla, wprowadza tu koniekturę własną, podyktowaną przez logikę odmiennej konstrukcji dramatycznej, innych wyznacza winowajców.

Z źródła swego korzysta dramaturg oczywiście jedynie jako z podniety. Kronikarz np. wspomina z tajemniczym niedomówieniem, że Mieszka w Polsce ożeniono «za zrządzeniem zawistnych losów — z ruską dziewczyną». Wyobraźni poety dość tego napomknienia, by rozwijając je stworzyć prześliczną postać Eudoksji, a z tragicznego obrotu jej miłości uzyskać w tkaninie dzieła wątek najbardziej chyba wzruszający.

Zresztą i Gallem nie krępuje dramaturg zbytnio swej uprawnionej swobody twórczej. W zespole np.

sił wrogich, knujących plan zguby Mieszka, jednym ze współczynników mieni Zbygniewa, co można było uczynić jedynie korzystając z poetyckiej swobody anachronizmu. (Uwagi godne, że tego samego anachronizmu dopuszcza się Żeromski w Wietrze od morza, czyniąc Zbygniewa (11-letniego) wraz z Bolesławem (3-letnim) trucicielami Mieszka). W stosunku poety do podstawy źródłowej utworu ujawnia się w tym, jak i w innych wypadkach, wyraźny prymat wymogów konstrukcji artystycznej.

Konstrukcja to, choć utwór nazwany został «balladą», na wskróś dramatyczna. Autor pewną ręką wytyczył nurt główny konfliktu, rozstawił charaktery na arenie akcji i sprzeczne ich dążenia związał w nierozwikłany splot tragizmu, dynamikę dramatyczną utworu przeprowadził ostrołukiem napięcia aż ku katastrofie.

W konstrukcji tej uderzyć musi jedno, cecha w ogóle jedna ze znamienniejszych dla twórczości Płażka: ogromne opanowanie wyrazu, nieobecność jakiejkolwiek rozlewności czy to lirycznej czy epickiej, ściśliwa kondensacja kształtu dramatycznego. Porównanie obecnej redakcji dramatu z poprzednią mogło by odsłonić w sposób oczywisty, w jakim to kierunku idzie i jak się wyraża rozwój dojrzałości artystycznej autora.

Taka ściśliwa ekonomia elementów konstrukcyjnych, taka obliczona oszczędność wyrazu artystycznego zostawia duże pole przy realizacji scenicznej dla artystów, którzy mając do dyspozycji postaci utworu mocno postawione i bogato zróżniczkowane, gestem, intonacją głosu uwydatnić muszą momenty drama-

tyczne, w tekście lakonicznym niekiedy zaledwie pozaznaczane. Sama zaś w sobie kondensacja owa, dająca dynamice dramatycznej bystry pęd, zapewnia utworowi wysoki stopień sceniczności.

Mimo walorów tak na wskróś dramatycznych autor nazwał utwór swój «balladą». Stało się to niewątpliwie z rozmysłu. Intencję zapewne właściwą uchwycimy, zwróciwszy pilniejszą uwagę na bohatera głównego. Musi mianowicie uderzyć pewna jego pasywność. Osaczony z obu stron przez powstałe nań zło, przez bezwzględną ambicję Sieciecha i zaciekłą zawiść Zbygniewa — złu temu wychodzi Mieszko naprzeciwko z jasną pogodą, młodzieńczą prawością, ale zarazem z pewną jakby «na korze serca» wpisaną skazą fatalizmu. Skąd ona?

Wolno mniemać, że w pewnej mierze zaważyła tutaj sugestia pierwszego źródła. Już Gall rozwiesił nad tą miłą sobie postacią jakiś złowrogi całun losu. Zauważył Wojciechowski, że wiadomość o przybyciu Mieszka do Polski ujął on w zdanie «jak żeby umyślnie naszpikowane złowrogimi wskazówkami przyszłego nieszczęścia». Już w oświetleniu Galla wyszedł na jaw zły los, który fatalnie zaciążył nad tym przepięknym życiem. Cóż dziwnego, że dramaturg dzisiejszy, że właśnie autor E l e k t r y *będzie chciał wpleść Los ten w wiązania swej koncepcji.*

Stało się to jednakże dopiero wskutek stonowania junackiej zaborczości królewicza, a więc za cenę pewnego ściszenia dramatyczności tej postaci. Topór owego złowrogiego losu jakby się jemu samemu jawił przed oczy w chwilach życia decydujących, powodując pewne osłabienie woli. «Królewicz złoty»

w obroży przemożnego zła — w takim ujęciu sprawy jest coś raczej z surowej prostoty legendy ludowej, fundamentu ballady.

Ową legendową prostotę uwydatnił autor również tokiem wiersza 10-zgłoskowego, rytmem, który kojarzy się nam nieodparcie z pieśniami serbskimi o Hassanaginicy czy o carze Łazarzu, a więc sam przez się, muzyką swą, nawiewa nastrój dumy ludowej.

Stanisław Pigoń

MIESZKO

(Noc. Las. Zima. Śnieg. Dokoła ogniska zebrani wojownicy. Wśród nich Walgierz, Mściwoj, Leszczyc mnich).

Walgierz (przemawia). — — —
Obca przemoc niewoli nas pęta:
W czarną noc i w lesie się kryjemy.
Mściwoj (przerywa).
Sam Walgierzu nas tutaj zwołałeś.
Na tę noc sam rozesłałeś wici.
Na wezwanie twe przyszlim. Słuchamy.
Cóż za ważna wieść, że jej w dzień biały
rozpowiedzieć nie można? Mów woju.
Walgierz. Obcy kniaź zawładnął Polan ziemią.
Otoczeni my zewsząd szpiegami.
My — żupani wolni — jakby jeńce.
Czescy woje po grodach warownych.
Na Wawelu Czech kasztelan rządzi.
Podsłuchuje każde słowo. Przeto
na baczności musim być.
Mściwoj. Walgierzu.
Lirne dziady śpiewają po dworach
pieśni o tem, co tu opowiadasz.
Nie nowina, że Czech nam panuje.
Stary wojownik.
Zbrojna straż u wnijścia boru czuwa.
Mów otwarcie.

Walgierz. W dni parę bój będzie.
Woje. Z kim? — Więc ostrzyć miecze i topory?!
Walgierz. Ostrzyć miecze, tasaki, siekiery.
Zawlec twarde nam przyjdzie kolczugi.
Bój gotuje się. Bój z najezdnikiem.
Woje. Precz z Czechami! Precz! My tu panami!
Ostrzyć włócznie, koncerze, tasaki!
Mściwoj. Zmilczcie męże! Wratysław tu panem.
Wawel silny stoi i warowny.
Słowa twoje zuchwałe, Walgierzu,
dojść by mogły do uszu potężnych!
Walgierz. Grozisz? Zdradzisz?
Mściwoj (zerwał się, krzyczy). Milcz!!
Stary woj. Nie czas na zwady.
Nie o waśniach nam myśleć. Schowajcie
miecze wasze. I radźmy w spokoju.
Mściwoj (kpiąco). Ale o czem nam radzić, nie wiemy.
Któż to bój gotuje z najezdnikiem?
Chyba nie ty, żupanie Walgierzu?
My nie chciwi słuchać twych rozkazów.
Walgierz. Syn Śmiałego.
Okrzyk. Żyw?!
Mściwoj. Kłamiesz! Król Śmiały
przepadł, zginął w obczyźnie, na Węgrzech.
Już wieść o nim zamarła, już dawno.
Walgierz. Ale Mieszko, Śmiałego syn, żywie.
Za dni parę już może tu będzie
sam na czele bojowej drużyny.
Głos. Skąd przybywa?
Walgierz. Z poza gór, od Węgier.
Leszczyc. Węgier władztwo obejmie po Czechu?
Walgierz. Nie. On z Piastów krwi, on nasz, syn króla.
Syn Śmiałego, wielkiego władyki.
Zasiąść jemu na dworcu wawelskim!
dziedzicowi prawemu ojczyca.

On przywróci minioną moc królów! —
— Wojnę przeciw królowi polskiemu
wiodłem niegdyś bratobójczą, krwawą.
Ręka losu dotknęła mię ciężka.
Powróciłem na dwór Bolesławów.
Wierność przysiągłem onemu.
I synowi wierności dochowam. —
Was zwołałem na to uroczysko,
by wam wieść tę oznajmić. Musimy
szłom na głowę nadziać i do garści
chwycić koncerz i trzymać go mocno,
ostro siec, najeźdźcę precz wygonić.

Woje. Precz wygonić!

Mściwoj. Postójcie żupany!
Hasło rogu jeszcze nie zabrzmiało.
Pierwszy raz słych o tym nas dochodzi.
Może baśń to. — Pomnijcie też, bracia,
jak witalim ongi Wratysława.
Jakże nam się nań teraz porywać?

Jeden z wojów.
Lecz nas zwiódł! Obcych nam nasłał rabów.
My w niewoli tu żyjemy. Precz z nim!

Wielu. Precz z nim! Mieszko niech żywie! królewic!

Mściwoj. Chcecie, by wróciły krwawe czasy
ojca Mieszkowego? Pamiętacie?
Z nas niejeden był odeń skrzywdzony
i bezbronny w wściekłości się miotał.
Mnie wolnego on zakuł w kajdany,
więził mnogo lat w czarnej ciemnicy.

Głos. Od obcego lepszy swój, choć srogi.

Leszczyc (mnich, powstał).
Na biskupa podniósł dłoń król Śmiały.
Więc zachwiała się korona, spadła.
Znamię klątwy wisi ponad całym
rodem jego, a także nad synem.

(zapala się). Jakoż sądzić możecie, by chłopię
unieść brzemię zdołało żelazne
klątwy onej na ojcu ciążącej?
Że was zdoła wyzwolić od obcych?!
Nam silnego potrzeba książęcia.
Z upragnieniem czekamy władyki,
co zdobędzie dla nas dawną chwałę
i wyzwoli z sromoty niewoli.
Ale temu nie chłopię podoła!

Głos. Ktoś ty mnichu, co mówisz tak śmiało
o władykach tu w gronie żupanów?
Młodyś jest. Tutaj starych narada.

Starzec. Sługa boży mówił, zatem milczmy.

Głosy. Tu rycerzy nas na wiec zwołano.
Do eremu z nim! Precz! Precz z mnichami!
Z Niemcem w zmowie! Zdrajca! Precz wygonić!
Precz z nim!

Mściwoj. To jest gość mój! Gość Mściwoja!
Krewniak mój! Jak ja, z rodu rycernych!
Jam go przywiódł tu! i ja go bronię!
Kto poważy się podnieść nań koncerz?!

Pachoł (wbiega). Huf rycerzy zbliża się.

Wszyscy (zrywają się). Do broni!

Drugi pachoł (wbiega). Węgry idą.

Głos. Węgry?

Drugi pachoł. Mieszko z nimi.

Mściwoj (gromkim głosem).
Zdrada! Jawna zdrada! Walgierz zdradził!
W nastawione zapadliśmy sidła!
Chcą nas zmusić —

Krzyki. Zdrada! Zdrada!

Walgierz (krzyczy). Zmilczcie!
(do Mściwoja). Jako śmiesz?!

Mściwoj (przekrzykuje go). Zdrada! Zarąbać zdrajcę!

Walgierz (przekrzykuje go).
Twej pogrozy nie trwożę się wcale!!
Walgierz jestem, rycerz z krwi i rodu!!
(Ogólna wrzawa. Woje dzielą się na dwa obozy. W ogniu zabłysły krwawo-złowrogo topory, koncerze, tasaki. Ukazuje się Mieszko z rycerzami węgierskimi).
Mieszko (krzyknął). Postójcie!!! —
(Stanęli. Patrzą na niego z zaciekawieniem, to z trwogą).
Mieszko. Bój bratni tu zastaję? —
Walgierz. Posądzają mię woje o zdradę.
I już się porwali do toporów.
Królewicu, sam osądź, czym zdrajca.
Walgierz jestem, co służył lat mnogo
wiernie ojcu twojemu, Śmiałemu.
Mieszko. Mów więc.
Walgierz. Wojów na wiec tu zwołałem,
by obwieścić im, że do nas wracasz.
Pogłos o tem już się był przełamał
przez daleką rozstrzeń czarnych borów.
Ustrzedz chciałem, by ta wieść przedwcześnie
nie dotarła do tynów Wawelu,
aby czynem zaskoczyć najeźdźcę.
Nie wiedziałem, że jesteś tak blisko.
Czy w tem zdrada?
Mieszko. Zdrady być nie może.
Wszak nie wróg ja, a wasz kneź, królewic.
Wracam dzisiaj do swojego kraju.
Gazda, idę odebrać, co moje,
mą dziedzinę ojcowską, nie cudzą!
Kto mi nie chce być w boju pomocnym,
niech odejdzie precz. Bezeń wydolę! *(Cisza).*
Mściwoj. O wy tchórze, którzy się trwożycie
takiej szumnej pogrozy — chłopięcia!
(drwi). Jako trzoda strwożona w czas burzy,

pochyleni stoicie i drżący,
aż was wicher lub piorun powali. —
Mieszku, synu Śmiałego, toć mówię
w twarz otwarcie, jakom żupan Mściwoj:
Nie chcę służyć pod twoją stanicą.

Mieszko. Przeto odejdź. Później już, gdy boju
poniechamy, mir święty nastanie,
siądę w cieniu rozłożystej lipy,
może w mego rodzica koronie,
sądzić będę, a wtedy osądzę
twoją zdradę.

Mściwoj (groźnie). Zdradę?! — Pożałujesz
kiedyś słów tych Mieszku *(kpiąco)* królewicu! —
Mnogo krzywd zcierpieliście od ojca:
Znoście dalej!
(odchodzi, za nim Leszczyc i garstka nieduża).

Walgierz. My zaś zostaniemy
tu przy tobie, królewicu złoty.
Dola twa niech będzie naszą dolą. —
Czasy naszły na nas złe, koniądzu.
Gniotą wojów nieznośnym ciężarem:
Po grodziszczach tu czeskie załogi.
A hen w Płocku niemieccy mnichowie
rządzą krajem i kniaziem Hermanem.
Tyś jest onym, którego czekamy
lata mnogie: Oswobodzisz ziemię!

Mieszko. Wydrę ziemię tę obcym, obronię!
(Tymczasem przygasło ognisko. Księżyc).
— Oto idziem na Wawel, wypędzić
precz najeźdźcę!

Walgierz. Potem na Płock pójdziem.

Mieszko. — Na Płock? — Ojca mego brat tam kniaziem.

Walgierz. Zdrajcą stryj wasz: Wypędził Śmiałego
z kraju. Zdradą złamał moc królewską.

Stary woj. On najstarszy z rodu, przeto panem
wszystkim nam.
Walgierz. Sprzymierzył się z wrogami
przeciw swemu królowi.
Mieszko (cicho, a twardo). Wiem o tem.
Stary woj. Sasów wezwie na pomoc kneź Herman.
Mieszko (po chwili, powoli).
Herman kniaziem mym — z rodu najstarszy.
Więc zapomnę o minionej zdradzie.
Muszę. Zemsty nie szukać mi teraz.
Pójdę przeto do Płocka, sam jeden
i nie zbrojny, bez pocztu rycerzy.
Przed Hermanem uklęknę uznając
pana w onym, dawnych krzywd niepomny. —
Teraz do broni!
Miecze ostre widzę i topory,
groźnie błyszczą w miesięcznej poświacie.
Bracia, radość mi piersi rozpiera,
żem wśród swoich i żeści mi radzi!
Na gród smoczy idziem zaraz nocą.
Jasna noc miesięczna, a śnieg skrzypie
pod stopami naszemi radośnie.
Nim się ocknie świt, będziem u celu.
Wypędzimy wroga!
Wszyscy. Wypędzimy!
(W zapale uderzają o tarcze. Zabierają się do odejścia).
(Z cienia krzaków wychyla się postać mnicha).
Leszczyc (szept). Kniaziu.
Mieszko. Ktoś zacz?
Leszczyc. Kniaziu uciekajcie!
Żal mi was. Tu wali huf rycerzy.
Czechów. W lesie spotkalim. A Mściwoj
drogę wojom wskazuje wśród lasu,
zaś na czele ich czeski kasztelan.

Mieszko. I cóż?
Leszczyc. Kniaziu, was ostrzec przyszedłem.
Czechów hufiec liczniejszy. Czas jeszcze:
Uciekajcie! Bór gęsty ochroni
w cieniach nocy.
Mieszko. Ktoś zacz? — Ha! Poznaję.
Ty z Mściwojem zdrajcą odstąpiłeś
kniazia swego. Szpieg jesteś. Precz z drogi!
— Walczę z dolą, co mię chce podeptać,
co zwaliła przed laty ojczyca.
Bój podjąłem znów ja, syn Śmiałego. —
Nie mnie z tobą się wdawać w rozhowor.
Precz stąd, albo zarąbię za zdradę.
Leszczyc. Kniaziu, wam śmierć grozi.
Mieszko. Cóż ci o to?
Gardzę tobą: Mnich jesteś i Niemiec!
Leszczyc. Jam z żupanów rodu! —
(znów pokornie). Sługa boży.
Błagam.
Mieszko. Precz stąd!
Leszczyc. Rodowa piastowska
duma w wzroku jest waszym. To ona
ojca twego stoczyła z wyżyny
w otchłań klęski. Pomnij dolę ojca!
(znikł w cieniu). — —
Walgierz. Milczysz kniaziu?
Mieszko. Ten blady mnich wspomniał
ojca mego wielkość i upadek. —
Ojca widzę ponure oblicze.
W oczach jego potęgi blask gorzał.
On był wielki, a ja jestem — mały. —
(potrząsa głową, by zrzucić zmorę wspomnień).
— Walgierzu.
Bądź mi druhem, daj dłoń, spojrz mi w oczy.
Siwe oczy twe, jasne i szczere.

Tyś u boku śmiałego władyki,
ojca mego dotrwał, gdy go wszyscy
opuścili. Dzięk ci za to druhu. —
Rycerz węgierski.
Jakiś huf rycerny tu nadciąga.
Mieszko. Broń gotujcie.
Głos. To zdrajcy z Mściwojem
w lesie czeskich spotkali rycerzy.
Na nas wiodą ich.
Mieszko (dobywa miecza). Więc ich witajmy,
jak się wojom godzi witać wroga!
(Wchodzi czeski kasztelan, olbrzymi chłop z rycerzami; wśród nich Mściwoj).
Walgierz. Królewicu, cofnijmy się teraz.
Nie gotowiśmy jeszcze do boju.
Mieszko. Syn Śmiałego jestem. Nie ustąpię. —
Kasztelan czeski. Tutaj wojenników koczowisko?
(do Mieszka). Ktoś zacz jest, co siejesz niepokoje,
tajne schadzki tu w lesie urządzasz?
co bez wiedzy mej rozsyłasz wici?
Mieszko. Mnie to pytać ciebie, kto zacz jesteś:
Na mej ziemi tu stoję ojczystej,
którą ojciec władał, dziś ja władam.
Kasztelan. Ja pan tutaj, kasztelan wawelski.
Dzierżę gród w imieniu Wratysława,
króla Czech i tej dzielnicy kniazia.
Mieszko. Zdradą zdobył pan twój tę krainę,
krwią przelaną bezprawnie. Krwią trzyma
w krwawych dłoniach władzę nad narodem,
który cierpi pod obcych przemocą.
Kasztelan. Mieczem zdobył pan mój gród wawelski.
Mieczem trzyma go. Mieczem obroni.
Mieszko. Przeto podnieś twój koncerz, najeźdźco.
Zmierz się ze mną. Walczmy o gród smoczy,

w którym ojciec mój władał przed laty,
który mój jest, bom ojca dziedzicem.
Walgierz. — Królewicu, królewicu złoty.
Wój to sławny na kraj cały siłą.
Pozwól, abym ja się zmierzył z onym.
Mieszko. Mnie przypada prawo tego boju.
Na mnie spadnie, gdy zwyciężę, sława!
Kasztelan. Śmiałość w słowach jest w twoich, chłopaku.
Żal mi ciebie i tego zapału,
który w oczach ci płonie tak jasno.
Zdaj się na mą łaskę. Ja cię poślę
na dwór mego władyki do Pragi:
Zaszczytami obsypieć Wratysław,
gdy mu winnej dotrzymasz wierności.
Mieszko. Milcz i broń się! Wierny jestem sobie
i pamięci mojego ojczyca.
(Walczą. Kasztelan rani Mieszka).
Walgierz. Ranion jesteś?!
Mieszko. Krew? — Nie czuję bolu.
(Kasztelan naciera gwałtownie. Mieszko uchyla się zręcznie i zadaje mu cios z boku. Kasztelan pada raniony).
Mieszko. Życie tobie daruję. Powracaj
do swojego pana z wieścią o tem,
co widziałeś. — Teraz na nich woje!
Potem idziem na dworzec wawelski.
(Bitwa).

SIECIECH

(Sklepiona izba w płockim zamku. Zimowy wieczór. W kominie ogień. Z lewej pod ścianą siedzisko książęce. Z prawej duży krzyż i klęcznik. W mroku ledwie dostrzec można klęczącą postać książęcia Włodzisława Hermana. — Cisza).

Leszczyc (uchylił zasłonę, zajrzał).
Modlisz się, książę? *(cofa się).*
Książę (powstał z trudem). Nie idź. Pozostań.
(idzie ku ławie wspierając się na posochu; siada).
Ukończyłem modły. — Lecz mi ciężko.
Długa noc — Bezsenność — tak co nocy. —
Od wieczora — aż gdy zaszarzeje —
na kobiercu z skór — Oczy otwarte
widzą przeszłość żywą — moje grzechy —
Leszczyc. Przebaczone.
Książę. Lecz pamięć została!
głuchy pogłos minionych dni dawnych. —
Noc jest czarna — Poprzez ciemność nocy
słychać z boru skowyt głodnych wilków —
Myśli moje — głodnych wilków stado —
Gonią za mną — uciekam —, a widzę
w ciemni żółte drapieżne ich ślepia —
Powiedz, czemu nie mogę zapomnieć?! —
Życie cięży — Syn dziecię: żyć muszę.
Leszczyc. Teraz już żyjecie nie dla siebie:
Szczęśliw, komu żyć dla drugich dano.
Książę. Dziwna w twojej mowie moc jest, mnichu.
Młody jesteś, a słowa twe silne.
Dzięki tobie, dzięki Sieciechowi,
żeście mi w niedoli mej pomocni.
Leszczyc. Już odbyliście, książę, pokutę.

Bóg wam grzechy minione przebaczył
i pobłogosławił wam.

Książę. Pobłogosławił:
Syna mam, dziedzica. Dzięki Jemu! —

Leszczyc. Z wieścią do was spieszyłem, władyko.

Książę. Do Sieciecha idź. On sam niech radzi.
Wiem, że wierny mi duszą i ciałem.
Co uradzi, na to ma mą zgodę.

Leszczyc. Sieciech sługa wam wierny. A jednak
wieść tę, którą przynoszę, wam jeno
chcę wyjawić, wam pierwszemu, książę.
Wysłuchajcie.

Książę. Mów. — Wieczór. Znużonym.
Chciałbym do snu się ułożyć: Może
przyjdzie wreszcie sen wyczekiwany.

Leszczyc. Właśnie wracam z pod Krakowa.

Książę. Cóż tam?
Smutno mi, gdy wspomnę o tym grodzie.

Leszczyc. Mieszko zjawił się, syn Bolesławów.
Z Węgier przybył. I wszyscy żupani
opuścili Czechów.

Książę (dźwignął się z ławy; — po chwili).
Syn Śmiałego?!

Leszczyc. Sam widziałem go. A chodzą gadki,
że już zdobył dwór wawelski, wyparł
Czechów z kraju i zamkiem owładnął. —

Książę (usiadł znów). —
Do Sieciecha idź. Zaraz niech przyjdzie.

Leszczyc (odszedł).

(Książę siedzi w myślach. — Wchodzi Sieciech. Postać jego krępa, a silna. Nieduża czarna broda. Szerokie, myślące czoło i przenikliwe, małe oczy świadczą o bystrości umysłu i niezłomnej potędze woli).

Książę. Wiesz?

Sieciech. Wiem od Leszczyca.

Książę. Więc mi nigdy,
nigdy już nie zaznać spokojności? —
Mów, co czynić?
Sieciech. Wy książę rozkażcie. —
— Mieszko syn klętego, nie jest godzien
być władyką tam, gdzie zbrodnia krwawa
hańbę na ród piastowski rzuciła:
Pomazaniec padł we krwi, w kościele
z rąk siepaczy: więc dłonie ich klęte.
Książę. Zwłoki godnym uczciłem pogrzebem.
— Mieszko synem jest mojego brata.
Brata w on czas, przed laty — skrzywdziłem,
knując zdradę przeciwko onemu.
Sieciech. Mieszko wiedzie bój z waszym dziewierzem.
Książę. Tamten wydarł mi całą dzielnicę
mnie należną, gdy widział, żem słabszy
i że hufom jego nie dostoję. *(umilkł).* —
Teraz wrócił on, syn Bolesławów.
Wawel trzyma. Sięgnie po koronę.
Mścić się będzie. Krew młoda gorąca:
Mnie wypędzi precz — i mego syna.
(bezradnie). Mów, co czynić?
Sieciech. Księciu rady nie trza.
Rzekliście: Mieszko syn skrzywdzonego.
Książę. Rady chcę!!
Sieciech. Swą radę już wyrzekłem:
Mieszko synem wyklętego. Klątwa
cięży na nim i na tych zaciąży,
którzy dłoń mu pomocną podadzą.
Książę (skurczył się). Klątwa. —
Sieciech. Tak. Klątwa kościoła.
Książę (szept). Klątwa — —
Sieciech (wyzyskuje przerażenie księcia).
Hufce wysłać trza przeciw Mieszkowi.
Książę (smutnie). Oszczepników na chłopię nieletnie?

Sieciech. Posłów słać do Wratysława z wieścią,
że wbrew woli waszej Wawel wzięty,
że wam wrogiem Mieszko Bolesławic.
Książę (j. w.). Że mi wrogiem Mieszko, syn Śmiałego?
— Wypędzilim Śmiałego z Wawelu.
Iżem skrzywdził ojca, syna krzywdzę? —
Sieciech. Jakiż rozkaz? Mam czynić, jak rzekłem? —
Książę (powoli). Syn to brata mojego starszego,
mego króla — i twojego króla. —
Pomnisz? Drżałeś na widok Śmiałego.
I ja drżałem też —
Sieciech (milczy; wytrzymał jego wzrok).
Książę (po chwili). Uczyń, jak rzekłeś.
Sieciech (chce odejść).
Książę. Nie! Zaczekaj. Jeszcze poczekamy.
Może klątwa z głowy Mieszka zdjęta?
Znałem chłopca przed laty. Widziałem:
Taka jasność była w jego oczach,
taka siła. Takbym go uścisnął!
On sierota. *(z podziwem).*
Zdobył sam dworzyszcze?
Wszak to chłopię jeszcze. — Hej! Piastowic!
(rozjaśniła mu się twarz).
Sieciech (zmarszczył brew).
(Wchodzi biskup Franko).
Książę. Hej biskupie, w porę tu przybyłeś.
Franko. Gadki dziwne snują się po grodzie.
Książę. Mieszko wrócił, syn Bolesławowy.
Franko. Poseł przybył odeń. Czeka.
Sieciech. Poseł?!
Książę. Niechaj wejdzie.
Sieciech. Wy znużony panie.
Przyjmę posła sam w waszem imieniu,
jakom czynić zwykł, sam go odprawię.

Książę. Tego przyjmę ja, gdyż mi jest drogi
poseł syna brata.
Sieciech. Wyklętego?
Książę. Mów biskupie, czyli klątwa spada
i na syna głowę, choć niewinny?
Franko. Tak. Lecz jeśliby syn się ukorzył
i odprawił pokutę za ojca,
może z klątwy znamienia być zwolon
Książę. Dzięk biskupie. Słowo twe pociechą.
— Niechaj wejdzie więc poseł Mieszkowy.
Sieciech. A gdy Mieszko przez posła zażąda,
abyś hołd mu złożył na Wawelu?
Wszak młodzieńcza buta nie zna granic.
Dla godności waszej to obelga,
jeśli przed swe oblicze puścicie
posła z takiem zuchwałem żądaniem.
Książę. Jam tu pan i włast, nie on, nie Mieszko!
Sieciech. Jeśli Mieszko wam hołdu nie złoży?
Jeśli zechce wam wydrzeć przemocą
władztwo, wam i waszemu synowi?!
Książę (waha się, patrzy na biskupa bezradnie).
Franko. Wtedy karę wymierzysz śmiałkowi:
Wpierw słuchajcie, co powie wam poseł.
(Książę daje znak przyzwalający. Przy pomocy Franka idzie i siada na siedzisku. Po bokach stają Sieciech i Franko. Weszło dwóch pachołków z pochodniami).
(Wchodzi Walgierz z giermkiem, przyklęka).
Walgierz. Hołd wam złożyć przybywam od Mieszka
królewica, syna Bolesława.
Wieść przynoszę radosną i kornie
składam ją u waszych stóp, władyko:
Wawel nasz jest, wydarty najeźdźcom.
Dziedzic prawy na zamczysku włada.
Wierność poprzysięgli mu żupani.
Radość huczy przez Polan kraj cały.

Książę. Jakoż jemu się mienić władyką,
skorom ja tu pan z rodu najstarszy?
Zali buntu płomienisko krwawe
chce rozniecić Mieszko Bolesławic?
Walgierz. Klęczę tu u waszych stóp, koniądzu.
Hołd wam składam, ja, poseł Mieszkowy.
Książę. Powstań. — Jakoż, powiedz, młode chłopię
podołało przemocy?
Walgierz. Kraj cały
powstał. Piasta władykę ujrzelim:
Dawna siła ocknęła się w wojach.
Kasztelana powalił czeskiego,
który słynie jako chłop mocarny:
Szłom w czerepy rozłupał onemu.
Zawstydzony Czech uciekł z wojami.
Książę. To piastowska krew się odezwała
w pacholęciu! Niech przeto przybywa
tu do Płocka. Radzi mu będziemy.
(Występuje Mieszko przebrany na giermka).
Mieszko (klęka). Książę, panie mój!
Książę. Coś zacz? Odpowiedz.
Mieszko. Z posłem razem przybyłem. Wybaczcie
to przebranie. Nie wiedziałem, zali
słowa posła przyjmiecie łaskawie.
Abyś mnie o zdradę nie posądzał,
sam przybywam — Mieszko Bolesławic.
Książę (powstał z siedziska).
Powstań chłopcze, pójdź w moje objęcia.
Bądź pozdrowion w mym dworcu książęcym. —
Widzę dumę rycerską w twym wzroku.
Kiedyż chłopiec mój będzie w twym wieku?
Czy dożyję? zobaczę go takim? —
— Ale chłopcze, na twem czele ciąży
klątwa, która na twego ojczyca

spadła —: Czyli odprawisz pokutę?
Czy ukorzysz się, by zmyć przewinę?
Mieszko. Na węgierskim dworze znamię klątwy
biskup ze mnie zmył, że jużem zwolon.
Książę. Dzięki za to , dzięki Najwyższemu!
— Młodzian z ciebie dorodny, już wojak.
Żonę ci już brać! —
Sieciech (do księcia). Jest tu na dworze
córka kniazia kijowskiego, dziewczę
cudnej krasy i wasza krewniaczka.
Książę. Słusznie prawisz. — Słuchaj królewicu:
Żonę mam dla ciebie upatrzoną,
córę kniazia kijowskiego, kraśną,
jako słonko poranne na wiosnę.
Gody huczne sprawimy, książęce.
Na wawelski dwór ja sam przybędę
w odwiedziny, na twoje wesele,
gdy śnieg staja, a ziemia się skryje
pod zieloną runią w czas wiosenny. —
(klaszcze w dłonie). Hej pachołki! *(pachołki)*.
Przygotować miodu
i posiłek. Strudzonyś podróżą.
Idź do izby gościnnej. *(do służby)*. Prowadźcie!
— Jutro rano rozmawiać będziemy.
Dziś znużonym już wielce. Dobranoc!
Żegnaj chłopcze — kniaziu — królewicu.
(uścisnął Mieszka; patrzy za nim).
(Mieszko, Walgierz, Franko, pachołkowie odchodzą).
Książę (do Sieciecha, który również chce odejść).
Sieciech!
Sieciech (przystanął). Nie idziecie na spoczynek?
Książę. Jeszcze tu zostanę.
Sieciech. Noc już późna. *(Cisza)*.
Mogę odejść?
Książę. Nie. Zaczekaj jeszcze.

Sieciech. Jaki rozkaz wasz?
Książę. Chcę twojej rady.
Sieciech. Zbygniew syn wasz: więc jego się radźcie.
Książę. Zdradę knuje jego myśl i podłość.
Rudy Zbygniew i krew w nim niemiecka.
Zazdrość patrzy mu z oczu zielonych.
Nie na jego ramieniu mi przeto
wspierać się, ani ufać onemu. — —
Mieszko nie wie wszystkiego, — lecz kiedy —
Kiedy zechce mścić krzywdę rodzica —
Gdy ulegnę w boju — ? *(zadrżał).* Jak tu zimno.
Czemu gaśnie ogień modrzewiowy?
Braknie drzewa? — Jak zimno! Kostnieję.
— Niech dorzucą złotego bursztynu
do płomieni: Kadzidlane dymy
niech mi kości me stare rozgrzeją. *(Cisza).*
(jak do siebie). Brat — —
Nigdy spojrzeć nie śmiałem otwarcie
w jego jasne oczy: zawsze drżałem,
by mnie ogniem swych oczu nie spalił.
Więc z ukrycia, z cieniu weń godziłem. —
Dziś go nie ma, a wciąż mi się zdaje,
że się jeszcze z nim zmagam, że żyw jest. —
Zazdrościłem: On silny. On śmiały.
Ja słaby. Przede mną nikt nie zadrżał. —
Wrócił jego syn — —
Sieciech. Widzieliście: Z Mieszkiem przybył Walgierz,
najwierniejszy sługa Bolesławów,
z dawna wróg książęcia Włodzisława.
Książę (podejrzliwy — cedzi wyrazy).
Twój wróg — nie mój. — Ty chcesz mścić się.
Nie ja.
Sieciech (szept złowrogi, zuchwały).
Moja zemsta jest wasza. —

(Starzec chwilę nań patrzy, jakby się chciał rzucić; — tłumi wściekłość; — niemoc go ogarnia).

Książę. — Mów. —

Sieciech. Wam oddana Eudoksja: Gdy będzie
żoną Mieszka, on wierny zostanie.
Na mnie resztę zdajcie, *(przenikliwie)*
lecz władyko,
(prawie groźnie) nie zganicie, cokolwiek uczynię.
Wasze słowo książęce mieć muszę. —

Książę (opanowany). Masz je.

Sieciech. Słowo książęce jest święte! *(Milczenie)*

Książę (ciężko opuścił głowę; zadrżał)
Jak tu zimno. Wyje zawierucha.

Śpiew Eudoksji (od komnat niewieścich idący).

Śpij kniaziu, śpij.
Niechaj w twych snach
śni ci się królowanie,
korony blask
w słonecznych skrach...

Książę (słuchał: twarz mu się rozjaśniła).
Słyszysz? Tam jest — syn mój — moje życie.
On sierota, biedactwo, nieboga.
Ojcem być mu muszę i macierzą. —
(uchylił kotarę u drzwi na prawo, patrzy).
Usnął już, już przymrużył oczęta.
Jak cicho oddycha. *(z miłością).*
Chłopuś mój jedyny.
(jeszcze chwilę patrzy; potem opuszcza kotarę i zabiera się do odejścia przez drzwi w głębi).
Znużenie. Zasnąć. — Na wieki zasnąć!... —
Boże wybacz grzech! Wiem: Żyć, żyć muszę
dla syna, dla syna. *(przypomniał).*
Czyń, jak rzekłeś. *(odszedł).*

Sieciech (podniósł głowę pewny siebie).

(Wchodzi Zbygniew. Spojrzenie jego nieufne, a prze-

nikliwe. Bujna ruda czupryna zdradza pochodzenie od matki Niemkini. Patrzy złowieszczo, szyderczo na Sieciecha).

Zbygniew. Aż do nocy ciągną się obrady?
Sieciech. Ojciec wasz sam tutaj mię przywołał.
Zbygniew. Ojciec pan w twą wierność wierzy trwale
Sieciech. Wiernym jest mimo waszych podejrzeń.
Zbygniew. Jednak złość wam dzisiaj patrzy z oczu,
Sieciech. Sługa jestem: Posłuszny być muszę
rozkazowi mojego władyki
nawet wtedy, gdy wola przeciwna.
Zbygniew. Wy tu panem większym, wojewodo,
niż ja, księcia syn. — Zły wzrok wasz korny:
Zali powrót Mieszka tak was gniewa? —
Sieciech (powoli).
Przyrzekł książę kneziównę kijowską
Bolesławicowi dać za żonę.
Zbygniew. Rzekłeś?! — — Kłamiesz! — — Słyszałeś? —
Sieciech. Słyszałem.
Zbygniew (stoi ze zmarszczoną brwią).
Sieciech. Was to boli? — Choć mnie nie kochacie,
żal mi was, Zbygniewie.
Zbygniew. Precz gadzino! *(Pauza).*
Sieciech. — Zemsta — Słowo jest jako miód słodkie —
Zbygniew (żachnął się; nieufnie).
Sępie we mnie zatapiasz spojrzenie. —
Sieciech. Oczy widzą: Kochacie Eudoksję. —
Zbygniew (wyniośle). Wojewodo, nie wam oto pytać.
I nie mnie się spowiadać przed wami.
— W mych objęciach leżała; to wiedźcie.
Tak. I dziecię moje nosi w łonie.
Więc się zrywa we mnie gniew, gdy słyszę,
że innemu — jemu! — ma być daną! — —
(z zaciśniętymi zębami). Powiadacie, żem jest Piast nieprawy,

żem jest gorszy od innych, nie książę. —
(stanowczo). Księciem będę, a moją kniahinią
ona — z rodu kijowskich władyków. —
Sieciech (w oczach jego zatopił wzrok).
Zbygniew (badawczo). Nigdym was nie kochał,
wojewodo. —
(patrzą sobie w oczy). — —
Sieciech. Do Eudoksji idźcie: Niech się podda
woli księcia. My ją uwolnimy.
Zbygniew. Słowo wasze?
Sieciech. Słowo i przysięga. —
(ściskają prawice. — Sieciech odszedł). —
Zbygniew (sam, bez ruchu, posępny).
Syn Śmiałego — wróg! — Kneziostwo moje
wymarzone — gdzie? — *(złowrogo).*
Stanął mi w drodze. *(stoi w cieniu).* —
(Wchodzi z prawej z komnat niewieścich Dobronega, królowa-matka, siwiuteńka, zgarbiona; z nią Eudoksja).
Dobronega. Coś ważnego dziś stać się musiało.
Do tak późna książę obradował
z wojewodą Sieciechem.
(rozgląda się, nie widzi Zbygniewa). Nikogo?
— Dziecko śpi?
Eudoksja (zajrzała). Spokojny jest.
Dobronega. Zdrów chłopak.
Oby Bóg i Matka Boska dali,
by zdrów urósł i silny i wesół. —
Ale — słyszysz? — gwar w izbie gościnnej.
Eudoksja. Tak, pramaci. Ktoś przybył do dwora.
Brzęk puharów słyszę, głosy wojów.
Dobronega. Co się dzieje? Tu zazwyczaj cicho,
bardzo cicho na królewskim dworcu.
Gdy przybędą posłowie z obczyzny,

wojewoda sam gości przyjmuje. —
— Północ już, dziewczyno. Pacierz zmówmy.
— Cóżeś taka dziwnie zasmucona?
Eudoksja. Ot! pramaci, różne przywidzenia.
Dobronega. Zamyślonaś tak już od dni paru.
Eudoksja. Nic. Wybaczcie mi. Już się poprawię.
(całuje ją w rękę).
Dobronega. Łzy na rzęsach?
Eudoksja. Łzy? To senność jeno
tak mi klei oczy. Noc już. Późno.
Dobronega. A niepokój ten? A ta zaduma?
Eudoksja. Ja spokojna.
Dobronega. Dziewczyno! Dziewczyno! —
Módl się! Módl się!! Kraj cały w niedoli.
Ledwie myślą wspominać śmiem czasy
syna mego śmiałego spiżowe.
Duma wielka porwała onego,
że zapomniał o Bogu nad sobą.
Srogą karę Bóg zesłał. I przeto
teraz musim się modlić i kajać. —
Eudoksja (zobaczyła Zbygniewa krzyknęła).
Tam pod ścianą stoi ktoś!
Dobronega. To Zbygniew. —
Przecz krzyknęłaś tak?
Eudoksja. Bo mi się zdało,
że tu w izbie pusto. —
(Wchodzi ślepy wygnany kniaź kijowski, ojciec Eudoksji. Jest stary i zdziecinniały).
Ślepiec. Wy słyszeli wieść oną radosną?
Słyszcie! Jesteś tu, córo?
Eudoksja. Tak, ojcze.
Ślepiec. Jesteś tutaj Dobronego? — Słyszcie:
Bolesławów syn Mieszko powrócił.
Jest tu. W izbie gościnnej wieczerza.
Siedzi tam na jesionowej ławie.

Dobronega. Coś rzekł? Mieszko, syn Bolesławowy?
Ślepiec. Wnuk twój wrócił, wnuk twój, Dobronego.
— Gdzieś dziewczyno? — Pójdź tu. Niech położę
rękę na twych włosach i na twarzy.
Hej dziecino, złote przyjdą czasy:
Bolesławic równy ojcu siłą.
Książę pan Mieszkowi uroczyście
przyrzekł ciebie dać za żonę. Będziesz
panią na Wawelu, kniaźną złotą.
— Ja wam całem sercem błogosławię. —
Wnet ruszymy na gody królewskie.
Eudoksja (zbladła, słania się).
Ślepiec. Potem het daleko, het na Kijów.
Ja na czele złotych hufów. Wreszcie
po tych latach tułaczki powrócę,
a powrócę jako mściciel krwawy!
Zemstę wezmę wreszcie bezlitosną
za tę zdradę ohydną, za moją
hańbę, za me oczy wyłupione.
Dobronega (równocześnie szeptem).
Mieszko wrócił? Królewic? Chcę widzieć
wnuka! Czy też do ojca podobny?
Ślepiec. Wreszcie przyszła czekana godzina.
Sprawiedliwy Bóg zbrodnie ukarze!
Dobronega. Noc już późna. Idźcie spać już, stary.
Ja powiodę was. Pójdę zobaczyć
wnuka: Czy też do ojca podobny? —
(do Eudoksji). Idź do dziecka, czy tam śpi spokojnie.
(odchodzi ze ślepcem; za sceną słychać jeszcze)
Głos Ślepca. Anioł zemsty wzniesie miecz płomienny:
Kroczyć będzie przede mną... przede mną...
(głos gaśnie). — —
Eudoksja (blada, zdrętwiała, patrzy na Zbygniewa).
— Zali prawda? — Książę postanowił —?
Zbygniew. — Ciebie oddać Mieszkowi za żonę.

Eudoksja (głos jej drga, jak płomień gasnący).
Tak spokojnie to mówisz, Zbygniewie —?
Zbygniew. Nie dopuszczę.
Eudoksja (zlodowaciałym od rozpaczy głosem).
Przywiązana jestem
powrozami do ciebie na wieki,
iżeś kłamstwem mię zwiódł: Broń mię teraz!
Muszę żądać od ciebie pomocy,
choć w mem sercu nienawiść jedynie.
Zbygniew (stanowczo, a spokojnie).
Rzekłem: Słowa danego nie złamię.

WESELE

(Sad. Jabłonie obsypane kwieciem. Zbocz wzgórza wawelskiego, opadająca ku Wiśle. Z prawej dwór drewniany. Wieczór wiosenny. — Książę. Sieciech).

Sieciech. Zaraz po północy stąd ruszamy.
Książę. Zaraz po północy precz ruszamy —.
(zamyślony). Jakże dziwnie to wszystko się plecie.
Sieciech. Wspominacie on wieczór zimowy,
kiedy Mieszko zawitał do Płocka?
Książę (na wpół do siebie).
Wieść jak piorun uderzyła we mnie.
Sieciech. Pamiętajcie, coście wówczas rzekli,
onej nocy?
Książę. Nie pomnę. To dawno.
Sieciech. Słowo knezia święte: obietnica,
nie przyganić, cokolwiek uczynię.
Mieszko —
Książę. Zamilcz!
Sieciech. Syna nie kochacie?
Syna chcecie mieć możnym władyką?
Książę. Precz ode mnie! Zły duch ty! Kusiciel!
Sieciech. Idę.
Książę. Zostań. — *(Pauza).*
Sieciech. Przecież panem być chcecie, nie sługą.
Książę. Raczej sługą być wolę, niż zdrajcą.
Sieciech. A przed laty zdradziliście brata,
by być pierwszym.
Książę. Tyś mnie zwiódł, podjudził. —
— Za tę zdradę przed laty dziś cierpię. —
Sieciech. Święte słowo raz zaprzysiężone. —
(ciszej). Spełniam tajny wasz rozkaz, którego
wypowiedzieć nie macie odwagi. —

Książę. Słowa twe zuchwałe, wojewodo. — —
Sieciech. Czas na ucztę. Czekają tam na was.
Książę. Czas na ucztę. — Oo, jestem znużony.
Sieciech (prawie rozkazująco).
Wraz po uczcie ruszamy, przed świtem.
Książę (idzie parę kroków ku dworcu; staje, patrzy na Sieciecha milcząc; potem).
Stoję na straży czci mego rodu
i czci własnej: Więc nie przypominaj
przysiąg dawnych. Pamiętam. —
(po chwili). Idziemy. *(odchodzi).*
Sieciech (idzie za nim).
(W tej chwili wchodzi Leszczyc, zdrożony).
Leszczyc (szept). Wojewodo. *(Rozmowa szeptem).*
Sieciech (zatrzymał się). Wróciłeś?
Leszczyc. W tej chwili.
Sieciech. Mściwoj?
Leszczyc. Przybędzie w przebraniu mnicha.
Sieciech. Czekaj tu: Do dworu niech nie wchodzi.
(odszedł). —
Leszczyc (znużony; oparł się o ścianę, oczy przymknął). Jazda konna przez las — Woń ziół leśnych —
Drzew szum — Słowik — — — *(Pauza).*
(Wchodzi Mieszko, odetchnął głęboko). —
Mieszko (zobaczył Leszczyca). Kto jesteś?
Leszczyc. Leszczyc jestem ze świty książęcej.
Czekam tu z rozkazu wojewody. —
Mieszko. Ktoś ty? Twarz twą już kiedyś widziałem.
— Gdym powracał, w mroźną noc, pod lasem. —
Wystąpiłeś przeciw mnie. — Lecz potem
ostrzegałeś przed Czechem. — Dlaczego? —
Leszczyc. Twarda dola każdego — i twoja. —
Mieszko. Dziwny wzrok twój i dziwne twe słowa. —
Leszczyc. Przecz koniądzu tam nie ucztujecie?
Mieszko. Duszno pośród gwaru ucztujących.

Tutaj zapach kwitnących jabłoni. —
Wszystko mi wydaje się zwidzeniem:
Tam jest Wisła — To zamek wawelski —
— Jam to stąd wypędził precz najeźdźców —?
— Tam we dworze mię czeka dziewczyna,
bym ją objął, do serca przytulił —
— Śpiewki słyszę, lir pobrzękiwania — —
Jednak — oto dzisiaj się sposobię
do znojnego czynu, na trud boju,
— po weselu ruszam na Pomorzan —:
A nie dane mi wyostrzyć miecza
na grobowcu ojcowym, i nie znam
nawet miejsca, gdzie ojca mogiła. —
— Pamięć ojca jest mi jakby zmorą. —

Leszczyc. Więc w pokorze módlcie się za duszę
króla-ojca.

Mieszko. Modliłem się długo. —
— Chcę dorównać wielkości onego!
Wiem — nie teraz — lecz kiedyś, po latach
będę królem, jak rodzic, jak dziad mój.
Chcę być królem! Chcę czuć na mej skroni
złoty ciężar korony rodzica!

Leszczyc. Gdzieś przepadła korona Śmiałego. —

Mieszko. Nową ukuć dam: Złoto zdobędę!
By ten obręcz zjednoczył kraj cały.
Aby dzielnic nie było, ni książąt,
którzy cudzej szukają pomocy.
Byśmy sami tu gospodarzyli,
a nie obcy, my — na własnej ziemi!

Leszczyc (przejęty).
Złotą widzę skrę na waszem czele. —

Walgierz (wchodzi). Wojownicy podnieśli puhary.
Wszyscy z ław powstali jesionowych:
Zdrowie piją Mieszka Piastowica.

Mieszko. Już rozproszył mgłę smutku Piastowic

i z pogodą na czole powraca
do was, wojom za pamięć dziękować.
(odszedł do wnętrza).
Leszczyc (patrzy ku światłu bijącemu z wnętrza).
Walgierz. Nie wnijdziecie do wnętrza na ucztę?
Leszczyc. Mnich ja, pielgrzym, brat jestem umarłych.
Walgierz. Ty mnich, a nie Niemiec? Ty z krwi naszej?
Oczu twoich spojrzenie lechickie:
Choć ponure, jednak kłamstwu wrogie.
Leszczyc. Wasz ja jestem i z rodu koniądzów.
Miałem ci ja dwór hen! na ostrowie.
Szatę mniszą zła mi wdziała dola.
Bardziej ja synem tej świętej ziemi,
niż ty, coś jest wróg swego władyki.
Walgierz. Mnich ty, przeto nie podnoszę broni,
jak na woja, lecz każę: wytłómacz!
Wszak przywiodłem tu Mieszka, prawego
kniazia, syna króla Bolesława.
Leszczyc. Herman pan tu, Sieciech wojewoda.
Wbrew ich woli Mieszko tu powrócił.
Panu swemu należy być wiernym,
ślepo wiernym.
Walgierz. Komu? Sieciechowi?
Leszczyc. W jego dłonie Bóg złożył zbawienie,
by wróciły czasy chrobrych królów.
Walgierz. Sieciech włada, sieje strach dokoła.
Jeno Niemce śmiało w twarz mu patrzą.
A przed nimi on korny i mały.
Leszczyc. Bo dziś oni silni, a my słabi.
Sieciech czeka, aż los się odmieni.
Wierzę: Jemu znaczon bój słoneczny
i zwycięstwo i wiekowa chwała.
Walgierz. Z Piastów rodu był chrobry król, który
złoty przywiódł wiek na Polan ziemię,
który słupy powbijał żelazne

w nurty rzeki na straży granicy.
— Z Piastów rodu był śmiały władyka,
co w kraj Niemców, Węgrów i Pomorzan
i na Ruś wiódł swój orszak rycerzy,
co jak stado żelaznych jastrzębi
popłoch siali dokoła i trwogę.
— Z Piastów rodu Mieszko syn Śmiałego.
Mieszko onym, którego czekamy,
by nam wrócił miniony wiek złoty.

Leszczyc. Mieszko chłopię nieletnie dziś jeszcze.

Walgierz. Mieszko Piastem.

Leszczyc. Sieciech mąż dojrzały.
Sieciech wróg twój: więc go nienawidzisz.

Walgierz. Jam nienawiść odrzucił od siebie.

Leszczyc. Aleś skrzywdził Sieciecha przed laty.
I bezkarnie żyjesz, chociaś zbrodzień,
coś mu zabił brata Wiślimierza,
coś mu spalił jego gród tyniecki.

Walgierz (silnie). Tyniec mój był, a teraz jest Boga!
Nie wspominaj tego, co minęło.

Leszczyc. Ból ci sprawia zbrodni przypomnienie?

Walgierz. Zbrodnia jego była, a nie moja.
Okłamano cię mnichu:
Gdym za Śmiałym ruszył do Kijowa,
dwór mi zabrał Wiślimierz
podłą zdradą, nie w walce orężnej,
dwór rodowy, tyniecki, kochany,
żonę uwiódł: Zabiłem oboje.
Dwór spaliłem. W ognia złotej łunie
poprzysiągłem już odtąd jedynie
żyć dla króla, mojego władyki.
Teraz służę więc królewicowi. —

Leszczyc. Prawdę rzekłeś?

Walgierz. Zapytaj Sieciecha. *(odszedł).* —
(Pauza).

Sieciech (wchodzi). Nie ma jeszcze Mściwoja? Już
późno.
Leszczyc. Pytać chciałem ja was, wojewodo —.
Sieciech. Nie czas teraz na słowa. Gdzie Mściwoj?
Leszczyc. Walgierz rzekł mi —
Sieciech. Potem!
Leszczyc (uparcie, namiętnie). Teraz! Teraz!
Sieciech. Gońca trzeba wysłać po Mściwoja...
Leszczyc. Zostań.
Sieciech. Co to?! Czyliżeś zapomniał?
Ślubowałeś być ślepo posłusznym
mym rozkazom i nie pytać o nic.
Leszczyc. Bo wierzyłem w was, iżeście mocny,
że wrócicie nam minioną chwałę.
Sieciech. Rzekłem: Nie czas na słowa. —
(zmarszczył brew). Rycerza
w tobiem widział, chociaż w szacie mnicha.
Leszczyc. Jestem nim!
Sieciech. Nie jesteś!!
Leszczyc. Wojewodo!!!! *(Pauza).*
Sieciech. Rycerz słowa danego nie łamie.
Wierność ślepą mi przysiągłeś, mnichu,
posłuszeństwo.
Leszczyc (hardo). Rycerz jestem wolny. —
Sieciech (powoli, cedzi słowa).
Zapomniałeś? — Giermka — czy pamiętasz,
co na dworze śmiałego władyki
służył — ? — Zapomniałeś — krew gorącą,
co bluznęła w twarz, w oczy giermkowi,
że na chwilę oślepł — ? — krew biskupa —
Leszczyc. Nie chcę słyszeć! *(ukrył twarz).*
Sieciech. I giermek oszalał.
Uciekł. Stanął u brzegu, nad rzeką:
Rzucić się w toń zimną, zmyć wspomnienie,
uciec z życia — !

Leszczyc (wzniósł głowę, mówi powoli).
Wasze silne ramię
powstrzymało zrozpaczone chłopię:
Obudziliście w dziecku nadzieję,
że krwi hańba się zmyje, że wróci
dawna chwała i mroki rozproszy.
Sieciech. I ty stałeś się moim: Przysiągłeś
posłuszeństwo, uwierzyłeś we mnie.
Ślubowałeś. Przysięgi dotrzymasz!
Leszczyc. — Młody, jasny królewic i szczery,
nie zna kłamstwa podłości ni zdrady.
Czemuż go nienawidzicie? za co?
Sieciech. Bunt podnosi przeciwko książęciu.
Leszczyc. Hołd mu złożył należny.
Sieciech (niecierpliwie). Pan jeden
w Polszcze całej winien być — nie wielu.
Leszczyc. Lecz gdy zemrze książę, w nim jedyna
dla nas będzie nadzieja.
Sieciech. Zmilcz wreszcie!!
Leszczyc. Nie! Nie zmilknę. Przysiążcie! *(dobywa krzyża).* Na ten krzyż! Przysiążcie na krzyż święty!:
Zmyć krwi znamię chcecie i przywrócić
wielką chwałę chrobrych królów?
Sieciech (odtrącił go). Dosyć!!
Leszczyc. Musisz! *(chwyta go za rękę).*
Sieciech. Rękę puść!
Leszczyc (szalony). Nie puszczę ręki.
Trzymam was w żelaznych kleszczach. — Patrzcie!
Patrzcie w twarz mą: Blada — trupio blada —
Młody jestem — a twarz moja stara —
Wam służyłem wiernie, bo wierzyłem — —
— Teraz — przed chwilą — przez bór jechałem —
Woń żywicy ostra — rozgwar ptaków —
Nęcił powiew wiośniany — Ja młody —

Młodość zabiłem — Muszę znać prawdę!
Mówcie! Dajcie odpowiedź! Musicie!
Sieciech. Nie chcę dłużej słuchać i nie będę
ci przysięgać, bo ja pan, ty sługa.
Leszczyc. Panem moim książę z rodu Piastów.
Sieciech. Nie książęca krew jest w Piastów rodzie.
Więc nie im być tej ziemi władcami.
Jam jest Starża —, umiem zdobyć posłuch.
Leszczyc. Coście rzekli?!?
Sieciech. Precz! Słyszałeś dobrze.
Leszczyc. Coście rzekli?
Sieciech. Precz! Tnę cię tasakiem!
Leszczyc. Wy kłamiecie?
Sieciech. Prawdę mówięć w oczy! —
— W czemże zbrodnia? — Czuję moc kneziowską
w sobie: Mnie więc włodarzyć Polanom.
Twardej dłoni wam trzeba, żelaznej.
Piastów ród jest słaby i bez woli.
Jakom strącił przed laty Śmiałego,
strącę teraz piastowski ród cały.
Leszczyc. Piastów święty ród: Bóg nam go zesłał.
Sieciech. To są baśnie śpiewane po chatach
przez gęślarzy. Niech dzieci w nie wierzą.
Leszczyc. Więc dlaczego nie wzniecacie buntu
otwartego przeciwko królowi?
W kłamstwa szacie skrywacie się?
Sieciech. Zamilcz!! *(uderzył go pięścią)*
Leszczyc (ogłuszony, słania się). — —
Zbygniew (wchodzi).
— Obietnicę wam przypomnieć muszę.
Wojewodo, czyście zapomnieli?
Słyszę śpiewy, lir pobrzękiwania.
Gody tutaj weselne Eudoksji
i Bolesławica. Toście rzekli,
że nie dopuścicie? — Hej Sieciechu,

jam cierpliwy. Czy się nie trwożycie,
że się u was upomnnę o słowo
przez was dane, lub o wasze życie?!
Sieciech (obłudnie).
Woli księcia sprzeciwić się trudno.
Nie znalazło me słowo posłuchu.
Zbygniew (groźnie).
Wojewodo, strzeżcie wy się, mówię!
Sieciech (wyniośle). Wy grozicie? Ja także pogrożę.
Nazbyt dumnie przemawiacie do mnie.
I ja mogę pogrozić.
Zbygniew. Mnie grozić?!
Sieciech. Wiem o schadzkach tajemnych w praborze
pośród zwalisk omszałej gontyny —:
Syna książęcego tam widziano.
Zbygniew. Milcz!!
Sieciech. Wiem dobrze. I książę się dowie. —
Zbygniew (śmiało mu w oczy patrzy).
Jeszczem młody, nie urósł na siłach,
lecz przyjść może czas, kiedy zadrżycie
wy przede mną, któremu grozicie!
W tych, z którymi się schodzę, jest siła.
Jeszcze brzmi śpiew bojanów, gęślarzy
i do boju zagrzewa z mnichami.
Dawnej wiary miecz wasz nie przełamie!
Nie dufajcie zbyt w waszą potęgę:
Wielu wrogów macie wojewodo.
Ja wiem dobrze, kto mię słał do Niemiec,
mnicha ze mnie uczynić. Na przekór
wam uciekłem, tutaj powróciłem.
Nie w eremie, jakoście pragnęli,
zbrojny jestem! —
Sieciech (na pozór uległy). Cóż mogę uczynić?
Zbygniew. Mieszko zginąć musi!
Sieciech. Wyście rzekli —

Zbygniew. — jeszcze, zanim opuścimy Wawel. — —
Sieciech. Skoro taki wasz rozkaz, posłusznym.
Leszczyc. Coście powiedzieli wojewodo?!
Sieciech (nie zważa nań).
Mam jad, który wmieszany do miodu
najzdrowszego powali rycerza.
Zaufany ktoś mu podać musi
puhar, by nie padło podejrzenie
na nas, ani na księcia.
Może jakiś zaufany sługa.
Zbygniew. Ona!
Sieciech. Żona?!
Zbygniew. Eudoksja: W objęciach
jego nie spoczęła jeszcze.
Sieciech. Zechce?
Zbygniew. Zechce. Musi!
Sieciech. Więc pójdźmy. Czas nagli.
Leszczyc. Stójcie! Wojewodo, co czynicie?
Zważ, Zbygniewie, czy nie wstyd ci zdrady?
Czy nie żal wam chłopięcia jasnego?
Sieciech. Precz stąd!
Leszczyc. Wszystko wyjawię!!
Sieciech. Przysiągłeś!!!
Leszczyc. Nie dotrzymam, nie dotrzymam wiary!
(radośnie). Teraz wiem już, co czynić! Znam drogę!
Z waszej rady mnicha wdziałem szatę.
Młodość moją zabiłem dla kłamstwa.
Wyście knuli w sercu złość i zdradę.
Mieszko tym jest, którego czekamy.
Jego czoło jasne, niesplamione.
Zdrajce wy! Wyrwę go z waszych szponów.
Sieciech (chwyta go, syczy). Nie tak głośno.
(do Zbygniewa). Trzymam. Zatkaj usta!
(woła). Pachołki! *(trzech wbiega).*
Związanego strzec, jak oka w głowie.

(Wyprowadzają Leszczyca). —
(Za sceną muzyka weselna).
(Wszedł Mściwoj w mniszej szacie).
Zbygniew. Jakiś mnich.
Sieciech. To Mściwoj?
Mściwoj. Tak.
Sieciech. Nareszcie!
Mściwoj (do Sieciecha). On wie?
Sieciech. Umówione.
Mściwoj. Zginie?
Zbygniew. Zginie.
(zwrócony ku dworowi, podnosi pięść).
Tam wesele. Pobrzęk lir i śpiewki:
Mieszku, synu Śmiałego!
Podniesione na ciebie trzy pięści.
Mściwoj (podnosi pięść).
Trzy tasaki lśnią się wyostrzone.
Sieciech (podnosi pięść).
Nie chybimy. Ugodzimy w serce.
(Za sceną muzyka weselna).

ŚMIERĆ EUDOKSJI

(Wawel. Komnata Eudoksji, cała zawieszona kobiercami. Z prawej okno zasłonięte kotarą. Noc wiosenna. — Eudoksja w bogatym stroju weselnym. Dobronega).

Dobronega. Za chwil parę już książę odjeżdża.
Na dziedzińcu żegna się z twym mężem.
I nam czas już się rozstać.
Eudoksja (pada jej do nóg, tuli się do kolan, łka).
Pramaci —
Dobronega. Czemu płaczesz? Nie płacz. Nie płacz, dziecię.
Eudoksja. Sama tutaj mam ostać i bez was?
O pramaci, weźcie wy mię z sobą!
Dobronega. Hej! To taka już dola kobieca.
I ja łkałam tak, jak ty, — przed laty.
Eudoksja. Nie tak łkaliście. Nie tak! Wiem pewno.
Moja dola jest inna od waszej. *(powstała).* —
Już — spokojnam.
Sługa (wchodzi). Poczet księcia rusza.
Eudoksja (drżącym głosem).
Już was nigdy — nigdy nie zobaczę. —
Dobronega (całuje ją w czoło; odeszła ze sługą). — *(Pauza).* —
(Z lewej wkrada się Zbygniew).
Zbygniew (półgłosem). Eudoksjo! Eudoksjo!
Eudoksja (zmartwiała). Ty?!?
Zbygniew. Czemuś tak blada?
Eudoksja (z nieruchomymi, szeroko rozwartymi oczyma).
Ty się pytasz? *(prawie że śmiech jest w jej głosie).*
Zbygniew. Przyrzekłem ci przecież,

że uwolnięć. I nie zapomniałem,
com powiedział.

Eudoksja. Nie trzeba. Nie trzeba.

Zbygniew. Nie chcesz?

Eudoksja. Nie chcę. Kocham go, złotego
królewica. On mój mąż, miłuje.
A ja jemu zaślubiona żona.

Zbygniew. Zapomniałaś, żeś mnie ślubowała
miłość wieczną?

Eudoksja. W kościele, przed Bogiem
ślubowałam jemu miłość wieczną
i dozgonną wierność. Więc precz odejdź.

Zbygniew. Zapomniałaś?

Eudoksja. Tak! Już zapomniałam.

Zbygniew. Ale ja pamiętam. Nie zapomnę.

Eudoksja. Złe twe oczy. W oczach twoich zdrada.
Oczy twoje zielone, jak węże.
Niech przeklętą będzie ona chwila,
kiedym pierwszy raz cię zobaczyła,
któryś kłamstwem podstępnem mię złudził.

Zbygniew. Rycerz jestem żelazny i wierzę
w ostry brzeszczot mojego koncerza.
Przekleństw twoich nie boję się wcale.
Wierność ci przyrzekłem: Dotrzymuję.

Eudoksja. Nie chcę twej wierności. Zapomniałam.

Zbygniew. Zapomniałaś? *(w oczy jej patrzy bezlitośnie).*
Dziecię nosisz w łonie —

Eudoksja (opuściła głowę). — *(Milczenie).*

Eudoksja (złamanym głosem). Co mam czynić? —

Zbygniew. Puhar złoty miodem napełniony.
Tu go stawiam na ławie. Gdy przyjdzie
Mieszko, gdy zażąda od cię miodu,
daj mu puhar: Niech cały wychyli
na twe zdrowie.

Eudoksja. W puharze miód słodki.
(chwyta puhar, by pić).
Zbygniew. Stój, w puharze sen skryty, sen wieczny:
Już się Mieszko o niczem nie dowie,
gdy wypije puhar na twe zdrowie.
Eudoksja (powtarza na wpół sennie).
Już się Mieszko Piastowic — nie dowie,
gdy wychyli puhar na me zdrowie — —
(nagle z siłą, a bezgraniczną pogardą).
Teraz precz stąd, bo zawołam sługi!
Psami wyszczuć każę, jak złodzieja!!!
(Zbygniew odszedł). — — —
Mieszko (wszedł).
Tutaj jesteś? Szukam cię. Samotnym,
gdyś ty nie jest przy mnie, gdy nie mogę
patrzyć w oczy twe, ust twych całować. *(całuje ją).*
Dole nasze już skute na wieki.
Mojaś ty jest i ja twój do zgonu.
Czy żałujesz, że tak to się stało?
Przecz dziś smutno tak patrzysz przed siebie?
Eudoksja. Królewicu, patrzę na was, jasny,
królewicu, królewicu złoty,
wy mi życiem i waszą być pragnę.
Patrzyć chcę w te wasze orle oczy
szafirowym płonące płomieniem,
takie jasne, śmiałe, a wesołe.
Mieszko. Bom radością pijany, gdy patrzę,
gdy cię widzę całą rozpłonioną.
Niczem skarby zdobyte na wrogu,
kubły pełne złota i bursztynu
i kamieni iskrzących się w słońcu!
Niczem Wawel! Niczem kneziów władza!
Radość przyszła po latach niedoli.
Więc cię tulę do siebie i trzymam
mocno, by mi zły los cię nie wydarł.

Eudoksja (uradowana).
To kochacie wy mię, królewicu?
Mieszko. Długie, czarne są twoje warkocze,
czarne brwi, czarne jedwabne rzęsy.
Gdy podniesiesz powieki — nie widzę,
nic nie widzę — tylko twoje oczy. —
(idzie z nią ku oknu, odsunął kotarę). Wisła — —
Eudoksja (patrzy w noc, zadrżała).
Odjechali — wszyscy — Sama jestem.
Mieszko. Drżysz? — Nie samaś. Ja jestem przy tobie.
Zawsze razem będziemy.
Eudoksja. — — Tętentu
kopyt końskich nie słychać już wcale. — —
Mieszko. — Wisła lśni się — pola — czarne bory —
Woń kwitnących jabłoni tam w sadzie —
Eudoksja (objęła go ramieniem).
Królewicu, mój jasny, mój złoty...
Mieszko. Kiedy drzewa zakwitną lipowe,
u stóp naszych zaszumi łan złoty,
muchy, pszczoły zabrzęczą wesoło,
i to wszystko, wszystko będzie nasze!
I koronę wywalczę królewską,
abyś była królową nad inne.
Ojców siła i śmiałość jest we mnie,
wielka duma, żem synem Śmiałego!
Eudoksja. Królewicu, mój jasny, mój złoty.
Mieszko (odstąpił od okna).
Miodu daj mi: Chłód wieje wieczorny.
Eudoksja (drgnęła).
Wnet przyniosę. Pachołków zawołam.
Mieszko. Tu na ławie puhar z miodem stoi.
Eudoksja (krzyk). Królewicu, nie pijcie z puharu!!
Mieszko. Przecz mam nie pić? W puharze miód
słodki.
Eudoksja. O, nie pijcie, jeśli miłujecie.

Mieszko. Przecz mam nie pić z puharu?! — *(Cisza).*
Przecz milczysz?
(Długie milczenie). — — —
Eudoksja (powoli, drżącą rękę wyciąga po puhar; trzymając go, patrzy na męża długą chwilę; — wychyliła puhar do dna. — Pauza. — Puhar wypada jej z dłoni). —
Mieszko. Co to było? Mów.
Eudoksja. To był miód słodki.
Mieszko. Czemu głos twój drży tak? Mów. Odpowiedz.
Przecz pobladłaś, oczy twe zamglone?
Przecz się słaniasz?
Eudoksja (wsparła się o niego). — — —
Mieszko. Więc jad był w puharze?! —
Eudoksja (słabym głosem).
Jad był w miodzie. Odchodzę na wieki.
Tak musiało być. Tak być musiało.
Mieszko. Co powiadasz? Dlaczego musiało?
Wszak miłujesz i mojaś jest żona.
Szczęście nasze przed wrotyma stało.
Czemuś piła?
Eudoksja (j. w.). Bom jest — potępiona.
Bom niegodna jest twojej miłości,
królewicu, królewicu złoty,
boś mię wygnać winien, bym sromoty
nie przyniosła twojemu rodowi,
bom dziewczyną nie jest, bom shańbiona...
Mieszko (oniemiały; — potem).
Nieprzytomnie bredzisz, biedna, chora.
Zwołam zaraz znachorów, bajdarzy,
aby urok odczynili.
Eudoksja. Biedna...
Biedna jestem — bardzo — Pożałujcie...
— Ale jedno to mi wierzcie, panie:
Was jednego kochałam na świecie.

Was jednego nad życie miłuję.
Was jednego, królewicu złoty.
To uwierzcie mi. O to was błagam.
(opadła na ławę). — — —
Mieszko (po długiej chwili). Kto?
Eudoksja (błaga). Nie pytać.
Mieszko. Kto? Odpowiedz.
Eudoksja (konając). Zbygniew.
On wasz wróg. Godzi na wasze życie.
On to jadem napełnił zły puhar.
On mi zlecił wam podać jad w miodzie.
Więc wypiłam sama, byście żyli,
bo was kocham jedynego, panie,
odkąd oczy moje was ujrzały.
Czy wierzycie, królewicu? —
Mieszko (patrzy jej w oczy; objął ją; z miłością).
Wierzę.
Eudoksja (szept). Dzięki, królewicu złoty.
Mieszko. Wierzę
i miłuję cię. Więc żyj, żyj jeno!
Ja zabiję zbrodniarza! Będziemy
w szczęśliwości razem długie lata.
Eudoksja (opuściła głowę, szeptem, uśmiechnięta).
W szczęśliwości długie, długie lata
żyj szczęśliwy, zwycięski, wesoły,
królewicu, królewicu złoty... *(skonała).*
Mieszko (pochylił się nad nią, patrzy w twarz, złożył pocałunek na czole; — — wstał, woła).
Hej tam! Sam-tu! *(pachołki).*
Konia siodłać zaraz!
Woje wszyscy niech będą gotowi:
Ruszam w pościg za pocztem książęcym. —
Leszczyc (wbiegł).
Gdzie jest koniądz? — Żywie? Bogu chwała!
Czyście, książę, nie pili z puhara?

Zbygniew zdrajca. Przybyłem was ostrzec.
Więził mię, że ledwie się wyrwałem.
Mieszko (żelaznym, spokojnym głosem).
Gdzie jest Zbygniew?
Leszczyc. Obóz rozbił w boru:
Miał powrócić tu o słońca wschodzie.
Mieszko. Za nim w pościg ruszam. Wskaż nam drogę.

DOPEŁNIENIE

(Polana w lesie. Noc wiosenna. Już szarzeje. Obozowisko. Woje leżą pokotem. — Sieciech. Zbygniew).

Sieciech. Dłużej czekać mi tutaj nie sposób.
Skoro Mściwoj przybędzie, ruszajcie.
Zająć trzeba bezpańskie zamczysko
jak najrychlej, by woje nie chcieli
opór stawiać.
Zbygniew (drwiąco). Słyszę. — Te — rozkazy
mnie wydane spełnić mam — ?
Sieciech. Jak chcecie.
Gdy pragniecie być panem Wawelu.
Sam tu dłużej już zostać nie mogę:
Spieszyć muszę za pocztem książęcia:
Nie dogonię.
Zbygniew. Zatem odjeżdżacie,
nie czekając na przybycie gońca,
aby brzemię czynu na mnie zwalić,
jako czynią tchórze.
Sieciech (groźnie). Ważcie słowa!
— Świt już prawie: Noc całą czekałem.
Zbygniew. Odjeżdżajcie: Mnie trwoga nieznana.
Niechaj na mnie spadnie gniew książęcia.
Sieciech (silnie). Trwogi nie znam i ja!
Ani gniewu czyjego się lękam.
Posłyszanych słów nie zapominam.
Wasze słowa wyryłem w pamięci!
Zatem jadę. *(drwiąco).* Życzę powodzenia.
(odszedł. Tętent konia oddalający się). — —
Dziad (już przedtem parę razy wychylał się z gęstwiny; teraz przystępuje; wspiera się na posochu; włosy białe jak śnieg).
Hej rycerzu przejasny.

Zbygniew. Ty czego?
Dziad. Ja z daleka przyszedłem. Znużonym.
Długom szukał.
Zbygniew. Kogoś szukał, dziadu?
Dziad. Was szukałem, rycerzu, boś naszy.
Zbygniew. Wasz ja jestem.
Dziad. Przez puszczę rozległą
szedłem, choć mi iść trudno staremu.
Na sękatym posochu się wspieram.
Dech mi piersi zapiera, a jednak
przez gęstwiny przedarłem się boru,
przez mokradła i głazów zwaliska,
aby do was dotrzeć.
Zbygniew. Skąd to idziesz?
Dziad. Stąd daleko wśród gąszczy, za rzeką,
dokąd stopa niemiecka nie sięga,
jest polana pachnąca kwiatami,
szumem leśnym owiana i ciszą:
Tam gontyna się wznosi, chram stary. —
Wieść nas doszła, że ty tu w pobliżu.
Wieść nas doszła, że ty ojców wiary
nie porzucił, iżeś wróg jest mnichom.
Ty nas pomścisz! My wiemy. Ty wierny!
Nie będziemy musieli się skrywać,
jak złodzieje w niedostępnych borach.
Zbygniew (z siłą). Ja was pomszczę!
Dziad. Twój zapał cię zbawi! —
Tylko w twarz wam jeszcze spojrzeć chciałem,
zanim skonam: Już skonam spokojny. —
Hej rycerzu! Noc słucha. Wśród nocy
czujne ucho bożyców-władyków.
Kiedy słońce powstanie na niebie,
twarzą w twarz stań naprzeciw wrogowi.
Zmierz się z onym w blasku dnia.
Zbygniew (ponuro). Powiadasz? —

Dziad. Oni zdradą walczą. Ty ich zmożesz
siłą twego koncerza!
Zbygniew (j. w.). Powiadasz — ?
Dziad. Dobądź miecza w obliczu złotego
słońca!
Zbygniew (krzyczy). Zamilcz!!!
Dziad. Zwyciężysz! Zwyciężysz! *(znikł w cieniu).*
Zbygniew. Znikł? — To urok — zmora — przywidze-
nie —
Sam tu stoję na straży mej doli.
Sam kneziostwo sobie wykuć muszę!
(chodzi niespokojny tam i z powrotem. — Cisza). — (woła). Straż! *(pachoł).* Czy nic nie słychać?
Pachoł. Cisza wszędzie.
Zbygniew. Spałeś? Rogu Mściwoja nie słychać?
Pachoł. Nie. Czuwałem: żadnego odgłosu.
Czasem jeno bór szumi — przed ranem.
Zbygniew. Precz! Nie zaśpij. Natęż słuch. *(Pachoł odszedł).*
Zbygniew (nasłuchuje). Nie. Cicho.
Dotąd cicho? — To miesiąc już zaszedł.
Już szarzeje. Mgły ranne powstają. *(słucha).*
— Jeszcze cicho?! *(naraz).* Słyszę! Hasło rogu
umówione! — Nie!: to tętent konia.
(Tętent konia coraz bliżej).
Hej tam! Żywo! Kto przybył? *(Mściwoj).* Nareszcie!
Mściwoj. Spieszcie panie. Pobudźcie rycernych!
— Koń podemną w drodze padł. —
Leszczyc zdradził: Mieszko zdrów i cały.
Jad wypiła Mieszkowa knehini.
On na czele hufu tutaj pędzi.
Leszczyc zdrajca wskazuje mu drogę.
Zbygniew. Wstawać woje! Do broni! Do broni!
(Powstali ze snu. Szczęk żelaza. Tętent koni).
Mściwoj. Oto są już! Powalili straże.

Mieszko (wbiega na czele swoich). Broń się zdrajco!
Zbygniew. Takiś to gościnny,
że napadasz na gościa po nocy?!
Jakiem prawem podnosisz miecz na mnie,
syna stryjca swojego i pana?
Mieszko. Ty nieprawym synem. Ja Piastowic.
Zbygniew. Jam Piastowic, jako ty! I wstyd mi,
wstyd za ciebie, co hańbisz ród Piastów!
Mieszko. Milcz. Wiem dosyć. Sposób się do boju!
Walką z sobą zaszczycam cię, woju,
ja Śmiałego syn. Dobądź oręża!
— Wy zaś wszyscy koncerze schowajcie,
bo nie z wami ja walczę, z nim jeno!
Zbygniew (broni się, — cofa się).
Mieszko. Ranion jesteś?! Nie znam przebaczenia!
Dwóch nas żywych pozostać nie może:
Aby dalej żyć, zabić cię muszę!
Śmierci pragnę twej, lub śmierci swojej!
(Podbiegł Mściwoj, z tyłu pchnął Mieszka mieczem).
Mściwoj. Śmierci pragniesz? Więc giń. Niech zobaczę
twoją krew, krew syna Bolesławów.
Znieważyłeś mię ty, jak twój rodzic:
Hańbę zmywam krwią twoją czerwoną!
Walgierz (lewem ramieniem podtrzymuje konającego).
Królewicu.
Mściwoj (cicho do Zbygniewa).
Uciekajmy, bo burzą się woje.
Walgierz. Chcesz uciekać, zdrajco? Ty niegodzien
paść pod ciosem oręża żupana.
Giń! *(uderzeniem prawicy powalił Mściwoja).*
Rycerze! Podnieście topory!
Zbygniew zdrajcą jest: Godził na życie
królewica. Niech padnie łeb rudy!
(Zbygniew odbiegł).
Woje (dobywają mieczy). Śmierć mu! Zdrajcy śmierć!

Walgierz. Gonić za zbiegiem!
(Paru wojów pobiegło. — Walgierz pochylony nad Mieszkiem. Woje stanęli kołem).
Walgierz. Królewicu, królewicu złoty! —
Mieszko (słabym głosem). Wody.
Walgierz. Wody przynieść! Tam źródlisko.
Zaczerpnijcie do hełmów miedzianych. —
Mieszko (cicho). Ciemność... Łoskot... Już koniec --
— Nie! Żywię!
(wytężył siły, podniósł się, wsparł na Walgierzu).
Muszę przemóc ból. — Wzywa mię ojciec,
bym mu godnym był synem. Wielkości
jego muszę dorównać — prześcignąć!!
Gonić zdrajcę!! — Słyszę. Słyszę wrzawę.
Pobrzęk cięciw i gwizd strzał pierzastych.
Biegnę... *(zadrżał cały; krzyczy).*
Ojcze, ty stajesz mi w drodze?!
Topór na mnie podnosisz?! — Nie dam się!!...
— Ah! *(opadł na murawę).* — *(Cisza).* —
(Ozwał się ptaszęcy śpiew).
Mieszko (cicho). Co to?
Walgierz. Śpiew to ptaszęcy, poranny.
Bór się ocknął ze snu i zaszumiał.
Mieszko. Słyszę. Szemrze. Jak listki na drzewach
— jeszcze blade, zaledwie rozwite —
drżą pod wiewu budzącym podmuchem.
Ranek idzie. —
Walgierz. Już szaro.
Mieszko. Gdzie — słońce — ? —
(rozkrzyżował ramiona).
Miękkie wrzosy, mchy pod memi dłońmi —
uścieliły kobierzec — dla knezia.
Na kobiercu tym mi dzisiaj — skonać!
(Słońce wschodzi i rzuca złoty blask na Mieszka).

Mieszko (w zachwycie). Słońce! — *(do Walgierza).*
Podnieś głowę, bym zobaczył,
abym słońcu w twarz mógł spojrzeć. — Słońce!...—
— Tonę w złotej, słonecznej powodzi.
Już pył blasku oślepia mi oczy... *(skonał).* —
Walgierz (rozpacznie). Królewicu, królewicu złoty!
Pozostańcie! Pozostańcie z nami!
Pierś nam pęknie od żalu i łkania.
Królewicu, królewicu złoty... *(Cisza).* —
Walgierz (klęczy chwilę; wreszcie podnosi się).
Książę Mieszko, Piastowic, królewic
skonał. — Weźcie ciało umarłego
wojownika na tarczę rodową
i wysoko podnieście, ku słońcu! *(czynią tak).*
— Koncerzami uderzcie o tarcze.
Bowiem czcimy pamięć bohatera,
co nas oswobodził od niewoli.
— Koncerzami uderzcie — trzy razy!
(Trzy razy uderzają koncerzami o tarcze).
(W tej chwili słońce złote, zwycięskie rozświetliło łąkę pokrytą wiosenną zielenią).
Walgierz. Do Wawelu teraz nieśmy ciało.

Zakopane 1913 — Kraków 1937.

L I S T

Kochany Przyjacielu!

Piszę do Ciebie, gdyż właśnie teraz wciąż stajesz mi w pamięci, jak to wówczas, przed wielu laty (było to na wiosnę tuż przed wybuchem wojny) tyle razy we dwóch wędrowaliśmy wieczorami na Żelazną Wodę, w stronę elektrowni, pod Skniłów. (Nie poznałbyś tych stron: tam gdzie wówczas była łąka, wyrosła dziś cała nowa dzielnica). Cudna to była wiosna i żaden z nas nie przeczuwał strasznej nawałnicy idącej na Lwów i na całą Polskę. Potem Ty zachodziłeś do mnie i rozmawialiśmy czasem do późnej nocy. Przypominasz sobie może ów wieczór, gdym Ci odczytał gotowy właśnie dramat piastowski z czasów Włodzisława Hermana? — Jako człowiek czynu, nie esteta, z pewną (życzliwą zresztą) pobłażliwością odnosiłeś się do mojej pisaniny, ale pamiętam, że po przeczytaniu sceny śmierci kijowskiej kneziówny zobaczyłem w Twoich jasnych oczach jakąś mgłę, jakby cisnęły Ci się łzy do oczu. Był to mój wielki tryumf.

Otóż dramat ten właśnie teraz puszczam w świat.

Jego temat prześladuje mię od jakich lat czterdziestu, jeszcze z wiedeńskich czasów gimnazjalnych. Patrzę wstecz:

Było nas w klasie trzech Polaków. Raz na tydzień mieliśmy w gimnazjum wieczorem godzinę «polskiego». Profesorem był pewien urzędnik jednej z austrjackich

centralnych władz, zacny pan N., szczupły, z siwą bródką, o czysto słowiańskiem spojrzeniu siwych oczu; człowiek gołębiego serca, niesłychanie czynny wśród wiedeńskiej Polonji. Całemi wieczorami przesiadywał w «Bibljotece Polskiej», mieszczącej się w starej kamienicy przy Doroteerstrasse, gdzie uporządkował książki, zorganizował wzorowo wypożyczalnię i szkółkę polską dla biednych dzieci, by je uchronić od wynarodowienia. Z nami w gimnazjum miał wiele kłopotu. Zrazu próbował prowadzić normalne lekcje, wtłaczać w mózgi zasady polskiej gramatyki, kazał pisać zadania. Ale spotykał się z biernym oporem. Z rzewnością wspominał o takim swym wzorowym uczniu, jakim był Tadeusz Rittner, stawiał go za przykład, lecz jakoś to nie skutkowało. Ostatecznie opuścił ręce zrezygnowany, przestrzegał tylko tego, aby podczas jego «lekcji» mówiono i czytano wyłącznie po polsku. (Mimo to wszyscy zawsze mieliśmy na świadectwie z polskiego notę celującą). W wyższych klasach zaczął nam coś trochę opowiadać z historji literatury polskiej, a gdy który z nas czemś się zainteresował, cieszył się tem ogromnie i natychmiast przynosił mu książki z danego tematu. Moją szczególną ciekawość wzbudziła najstarsza kronika Galla. Dostałem od profesora łaciński egzemplarz i zabrałem się do czytania. Ale ta średniowieczna łacina była trudna, wielu wyrazów nie rozumiałem. Musiałem się posługiwać specjalnym, bardzo obszernym słownikiem. Wreszcie przebrnąłem przez te trudności i po paru miesiącach przyniosłem profesorowi z dumą tłómaczenie całej pierwszej księgi. (W jakimś lwowskim dzienniku po latach ogłosił pan N. wspomnienia ze swej nauczycielskiej działalności w Teresianum i wspomina tam także o tym moim przekładzie Galla).

W kronice uderzyła mię zagadkowa i smutna hi-

storja młodego Mieszka, syna Bolesława Śmiałego. Snułem domysły, co może mieć za znaczenie powiedzenie Galla, że «ożenił się za zrządzeniem zawistnych losów z ruską dziewczyną». — W parę lat po zdaniu matury zabrałem się do napisania dramatu na ten temat. Ciągnęło się to przez czas dłuższy, pracy nigdy nie skończyłem, a gdym przeczytał «Bolesława Śmiałego» Wyspiańskiego, wszystko spaliłem... Ale temat nie dawał mi spokoju. Z biegiem lat znów w myśli składały się same scena za sceną, akt za aktem, aż wszystko w głowie miałem gotowe, szło tylko o napisanie. I do tego się nie mogłem jakoś wziąść. Nie mogłem uchwycić właściwego rytmu.

Aż wreszcie —

Po parutygodniowym pobycie we Włoszech (w rok przed wojną) przyjechałem do Zakopanego, gdzie jednak pogoda była fatalna. Wreszcie rozjaśniło się trochę. Wybraliśmy się więc ze znajomym do Doliny Kościeliskiej. Po jakimś kwadransie drogi w wąwozie niebo pociemniało, dały się słyszeć dalekie grzmoty, burza rozpętała się na dobre. Deszcz lał. Piorun za piorunem uderzał, i huk rozbijał się potężnem echem I teraz nagle — wszystko już wiedziałem. Słyszałem w tym huku dźwięk wierszy, ich zdecydowany, stanowczy rytm...

Towarzysz mój przyspieszał kroku, ja postępowałem za nim wolniej, wsłuchany w rytm wierszy, które same przychodziły wraz z hukiem grzmotów. — Zator był przełamany: Tego wieczora skończyłem akt pierwszy. Resztę napisałem w następnych tygodniach. —

Ale z całości nie byłem jakoś zadowolony. (Po paru latach wydrukowałem dramat — pod innym niż teraz tytułem —, by go znów wycofać). Zmieniałem, uzupełniałem manuskrypt przez prawie ćwierć wieku. Gdzież go nie miałem przy sobie? W wiedeńskim

Schönbrunie, w lasach koło Marienbadu, w bielskim lasku cygańskim, w parku łazienkowskim, w sadzie w Bronowicach, w małej wiosce beskidzkiej. Mimo upływu tak znacznego czasu i ciągłych zmian trzon utworu pozostał ten sam. Zmiany zdążały do nadania dramatowi większej zwartości i tonu ballady, a zwłaszcza do dostosowania się do warunków scenicznych. Bo dla sceny jest przeznaczony «Topór».

Jakbym widział na Twej twarzy zdziwienie, że obecnie po tylu latach zdecydowałem się na druk utworu. Nie dziw się. Te postacie Mieszka, Sieciecha, Zbygniewa, Eudoksji, Leszczyca prześladują mię, nie dają mi spokoju, muszę się otrząsnąć, a wiem z doświadczenia, że jest to jedyny sposób uwolnienia się od takiej zmory. — Książkę chciałem Tobie poświęcić, ale nie czynię tego, a nawet nie posyłam Ci jej, bo wiem, żeby nie dostała się do Twych rąk. Nawet list ten nie dotrze do Ciebie. Tak zrządził zły los. Jesteś bardzo daleko.

Ale pozdrowienie Ci przesyłam, a to — wiem na pewne — przedrze się przez zagadkową, kryształową rozstrzeń i dotrze do Ciebie, bo idzie wprost od serca.

F. P.

TEGOŻ AUTORA:

ELEKTRA 1905 POGROM 1907 EIRENE 1907 TRZY STRUNY 1914	nie znajdują się w handlu księgarskim
ARDEA 1925 NAPIĘTY ŁUK 1931 ZBURZENIE TREBIZONDY 1936 IFIGENEJA 1937	u Gebethnera i Wolffa w Krakowie

DRUKARNIA
W·L·ANCZYCA
I SPÓŁKI
W KRAKOWIE